

bezwierszówki

SDP

 RADA
ORGANIZACJI POZARZĄDOWYCH
MIASTA OLSZTYN

Miesięcznik społeczno-kulturalny

ISSN 1732-7327

Nadal nie jestem w stanie w TO uwierzyć. Otóż 10 lat temu, w marcu 1968, w 30 rocznicę „rozruchów studenckich”, podczas okolicznościowego spotkania w Domu „Gazety Olsztyńskiej” dowiedziałem się od jednej starszej pani, że...” wypadki marcowe 68’ władza ludowa spowodowała, by studentom wpoić nienawiść do klasy robotniczej”.

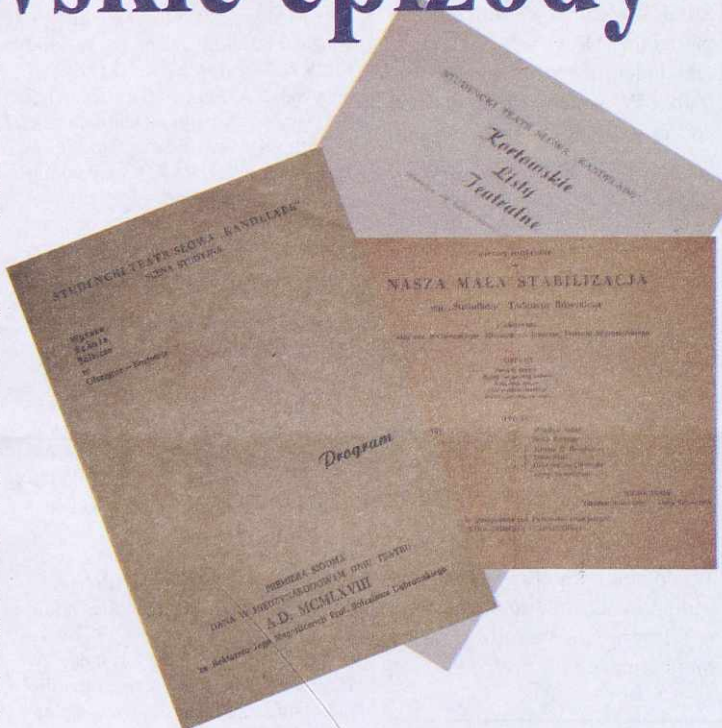
Pamięć Marca `68

Kortowskie epizody

Miroslaw Rogalski

Odpowiedziałem tej pani, że nienawiści trudno nauczyć, z nienawiścią w sercu można się jedynie urodzić. Dla mnie osobiście tamte marcowe dni były okresem wchodzenia w prawdziwie dorosłe życie, były też nauką patrzenia na świat. Kończyłem właśnie studia i zastanawiałem się co będę robił po opuszczeniu Kortowa. Myślenie o przyszłości przerwała na kilka dni terażniejszość - wydarzenia ode mnie niezależne. Co pamiętam z tamtych dni? Sporo z autopsji, sporo z rozmów /po latach/ z kolegami. Pomógł mi /właśnie 10 lat temu/ uporządkować tę wiedzę prof. Bohdan Łukaszewicz, który podczas wspomnianego przed chwilą spotkania, przytoczył dane zaczerpnięte z tajnych raportów pisanych przez różne służby o tym, co działo się w Kortowie w marcu `68. Raporty mówią sporo, ale czy wszystko? Profesor uprzedził, że ma z tym pewien kłopot. Zdawał sobie sprawę, że w notatkach bezpieki wyśledził niekiedy błędne, a przede wszystkim niepełne informacje. Była więc okazja do porównania mej i moich kolegów pamięci z tajnymi zapisami - źródłem historycznej wiedzy

Z początkiem marca do Kortowa docierały wieści z Warszawy o wszystkim, co wokół mickiewiczowskich „Dziadów” się dzieje. Pojawiły się pierwsze ulotki i odbyły się w różnych gremiach zamknięte zebrania - operatywki. Pierwsze otwarte zebranie 14-go marca miało się odbyć w Antalku, ale z powodu dużego zainteresowania /około



W marcu 1968r. Studencki Teatr Słowa „Kandelabr” wystawił na deskach Teatru im. Stefana Jaracza „Naszą małą stabilizację” Stanisława Różewicza. Wywołało to duże poruszenie, także polityczne. Epizod ten zasługuje na oddzielne opisanie.

700 osób/ zostało przeniesione do Nowej Zootechniki. Pamiętam, że spotkanie było prowadzone nieudolnie, a odpowiedzi przedstawiciela Wydziału Propagandy KW niekompetentne. Po latach dowiedziałem się, że trafił na spotkanie zupełnie niespodziewanie dla samego siebie, z „łapanki” - pójdziesz i coś młodemu powiesz! Mówił niewiele, ale śmiesznie. Salwą śmiechu przyjęliśmy określenie - Epopeja Narodowa „Dziady”. Niezręczna sytuacja propagandyzisty atmosferę rozładowała. Z tej całej gadaniny jednak coś wynikło. Ustalono bowiem, że następnego dnia odbędzie się spotkanie studentów z I Sekretarzem KW PZPR

- Stanisławem Tomaszewskim. Tak się stało. Zgromadzenie, na którym było grubo ponad tysiąc osób, prowadził rektor WSR prof. Bolesław Dąbrowski. Podczas 4-godzinnej gorącej dyskusji były gwizdy, okrzyki i jednoznaczne stwierdzenia - w jeziorze Kortowskim dużo wody, prosimy o konkrety! Padły - jak odnotowano w raporcie - 124 pytania. W końcu przyjęto 9-cio punktową rezolucję. W niej potępiono wrogów ustroju, grupy syjonistyczne i grupy chuligańskie, popierano studentów z Warszawy, żądano uwolnienia niewinnych i przekazania obiektywnych informacji w środkach masowego przekazu.

Dokończenie str. 2

Mówi się o tym

Pamiętkowe kodeksy

Mówi się, na przykład, o łamaniu zasad dziennikarskiej etyki. A na czym się ona zasadza? Na przyzwoitości w postępowaniu wobec informatora, wobec odbiorcy (czytelnika słuchacza, widza), wobec kolegów z profesji. Co jednak czynić w sytuacji zagmatwanej, kiedy ta prosta przyzwoitość wymaga zdefiniowania. Wtedy sięga się po pomoc kodeksów - za przeproszeniem - korporacyjnych. Dziennikarze mają je w liczbie większej niż jeden. Znają treść tych kodeksów? Nie znają. Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że liczba dziennikarzy gwałtownie zmalała (na święczniku są współcześnie tzw. Pressworkers, czyli wyrobownicy prasowi), po drugie dlatego, że egzekwowanie kodeksowych postanowień w Polsce po 1989 roku, praktycznie nie istnieje.

Jeszcze przed wybuchem II wojny światowej Międzynarodowa Organizacja Dziennikarska (FIJ) uchwaliła Międzynarodowy Kodeks Honorowy. Jego poszczególne paragrafy poprzedzał wstęp nakazujący dziennikarzom:

1. Nie uciekać się do nieuczciwych sposobów przy zbieraniu materiałów,
2. Poność odpowiedzialność za to, co się głosi,
3. Nie publikować wiadomości nieprawdziwych,
4. Nie zniekształcać publikowanych dokumentów,
5. Nie zniesławiać,
6. Nie popełniać plagiatów,
7. Nie podejmować zleceń niezgodnych z sumieniem,
8. Nie ciągnąć potajemnych korzyści osobistych,
9. Dochować tajemnicy zawodowej,
10. Nie szkodzić kolegom.

Czy już, „biorąc powyższe pod uwagę”, staje się zrozumiałe dla czego w polskich redakcjach jest jak jest? Dlaczego wydawcy nie są zainteresowani dyscyplinowaniem piszących?

Piszę wszakoż o tym, by uzmysłowić młodszemu, że Dziennikarski Kodeks Obyczajowy, nadal obowiązuje. A co się stanie, gdy ktoś złamie jakąś jego zasadę? Nic się nie stanie. Powinien spalić się ze wstydu.

Krzysztof Panasik

Dokończenie ze str. 1

Rezolucja – wbrew obietnicom – nie została opublikowana ani w Polskim Radiu, ani w „Głosie Olsztyńskim”. Ze zrozumiałych względów, na drugi dzień wywołało to rozgoryczenie i... pomysł wyjścia na miasto. W dodatku dotarła do Kortowa informacja o aresztowaniu w Ince kilku studentów. Emocje narastały. 17 marca wzburzona młodzież ponownie zaczęła gromadzić się między akademikami i ponownie zagroziła wyjściem z Kortowa. Namietności uspokoił prorektor WSR prof. Tadeusz Krzymowski. Zaproponował młodym jeszcze jedno spotkanie w auli Nowej Zootechniki. Jego apel o rozsądek odniósł skutek. Emocje opadły, gdy na salę dotarła wieść o zwolnieniu zatrzymanych. Nieścisłości z przekłamaniami – wartość tajnych notatek Można powiedzieć, że Marzec 68' w Kortowie to burzliwy okres kilku dni. Po spotkaniach /zamkniętych i otwartych/ pozostało kilkanaście stron tajnych meldunków. Przytoczył je prof. Bogdan Łukaszewicz w opracowaniu: „Marzec 68' na Warmii i Mazurach” zamieszczonym w Komunikatach Mazursko – Warmińskich w numerze 2 w 1998 roku. Cytowane tam notatki zawierają między innymi, „wykaz studentów WSR, głównych organizatorów i mąciocieli – znanych ze swych wrogich wystąpień

i wszelkich akcji podburzających”. Ież tam nieścisłości – kłopoty z poprawnym zapisaniem nazwisk, przekłamania w imieniu, pomyłone adresy i numery akademików, niespójne fakty. Wysznuć można wniosek, że wicherzycielem był student, który – jak sam przyznaje – nigdy nie miał wrogiej postawy wobec Władzy Ludowej. W raportach napisano jednoznacznie, że papier i maszyna do pisania rezolucji pochodziły z biura ZSP. Z tego co wiem od kolegów, maszyna była zupełnie prywatna, a papier z odzysku – wykorzystano jego niezapisaną drugą stronę. Podczas marcowego przesilenia kilku studentów całymi dniami balowało. Mówili, że stawia im taki jeden, a rozmawiają z nim o dziewczynach. Dziś, po tym co przeczytałem, nie wykluczam, że oni mówili co mówili, a on pisał co pisał. Epilog, który stał się prologiem Minął tydzień. Wydarzenia sprzed kilku dni przeszły do historii. W sercu rodziła się wiosna. Nastąpiła niedziela 24 marca. Członkowie AKT wybrali się autokarem na wycieczkę, na Szlak Kopernikowski. W rozśpiewanej grupie ONA i ja. Swatka – Kopernik sprawił, że szczęśliwie 40 lat idziemy wspólnie przez życie, bez nienawiści do ludzi i świata. W dodatku kolejny szczęśliwy traf spowodował, że pozostałem w Olsztynie, a Warmia stała się moją Ojczyzną ■

Andrzej Zb. Brzozowski *Limeryki dziennikarskie*

„Nasza klasa”

Może kiedyś, komuś da się
Znaleźć „klasę” w naszej klasie.
Mam na myśli bardzo liczną
Naszą klasę polityczną.
Czyżby wszystko w swoim czasie?

„Polityczna odwilż”

Za oknami mamy wiosnę,
Wszystko piękne i radosne,
Tylko w polityce zima,
Która mocno jeszcze trzyma.
Może znajdzie się pierwiosnek?

Bez wierszówki - miesięcznik społeczno-kulturalny Oddziału SDP w Olsztynie,
www.sdp.pl, www.wim.ngo.pl

Prezes oddziału: Joanna Wańkowska-Sobiesiak (tel. 089 523-26-11)

joanna-wankowska@wp.pl

Redaguje: Krzysztof Panasiak z zespołem (kom. 603-417-014)

bezwierszowki@o2.pl. DTP: Paweł Lik pawel@zycieolsztyna.pl

Druk: Wydawnictwo „Postanice Warmiński”. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów i skracania tekstów. Materiałów nie zamówionych nie publikujemy.

Nakład 300 egz.

Konto oddziału SDP w Olsztynie: Bank BPH Spółka Akcyjna

O/Olsztyn 64 1060 0076 0000 4013 8000 0798

Wydanie współfinansowane przez Urząd Miasta Olsztyn

Na przyjaznych antenach

Kwietniowy DZIEŃ RADIA

Katarzyna Staszko

11 kwietnia to Dzień Radia. Z tej okazji w popołudniówce radia UwmFm zagościły osoby znane, doświadczone, od których każdy młody radiowiec, i nie tylko, mógłby się wiele nauczyć.

Na antenie wypowiadali się bowiem: Władysław Bogdanowski (dziennikarz radiowy, związany z radiem Emitor, Radiem Olsztyn i Programem III Polskiego Radia), Stanisław Czachorowski (profesor UWM z Katedry Ekologii i Ochrony Środowiska Wydziału Biologii, w czasie studiów działający w radiu Emitor), Jarosław Kowalski (dyrektor olsztyńskiego oddziału Telewizji Polskiej, pracę w mediach rozpoczął w Radiu Kortowo), Krzysztof Panasiak (dziennikarz radiowy, redaktor, w zawodzie od 40 lat, związany niegdyś z Radiem Kortowo, a obecnie również z UwmFm, gdzie prowadzi audycję z muzyką klasyczną) oraz Małgorzata Raducha (wydawca, dziennikarz i prowadząca z Programu I Polskiego Radia).

Dziennikarze z różnym stażem, absolwenci różnych uczelni, osoby z różnymi zainteresowaniami, a jednak... coś ich łączy. Większość z piątkowych gości pierwsze kroki stawiała w rozgłośniach akademickich.

W 1969 roku przy WSP w Olsztynie powstało radio Emitor, odbierane przez brać studentką w akademikach. Niewielkie studio i ludzie z wielką pasją. W 1977 roku pracę w nim rozpoczął Władysław Bogdanowski. Zaangażowanie młodego studenta zaowocowało etetem w Radiu Olsztyn, współpracą m.in. w Sygnałach Dnia, a w 2002 roku Złotym Mikrofonem.

W latach 1982- 87 z Emitorem współpracował również Stanisław Czachorowski, wówczas student, a obecnie profesor UWM. Do dziś wspomina wielki magnetofon szpulowy i montowanie materiału... żyłką (zaskoczenie zwłaszcza dla młodych słuchaczy!). Emitor był wielką przygodą i szansą poznania ciekawych ludzi. „To, co robimy poza studiami pozostaje w pamięci najdłużej, dlatego dziś starych nagrań i radiowych jingli słucha się z sentymentem”. Dla prof. Czachorowskiego radio było niczym międzywydziałowa rodzina, która wspólnie rozwiązywała pewne problemy. Władysław Bogdanowski zauważył, że w takiej pracy ludzie muszą sobie zaufać, a ekstremalne sytuacje budują silne więzi.

Pozytywna atmosfera panowała również w radiu Kortowo, gdzie „medialne życie” rozpoczęli Krzysztof Panasiak i Jarosław Kowalski. Zaangażowani studenci,



Fot. Ze zbiorów Autorki

młodzi ludzie z pasją, którym od czasu do czasu przytrafiła się „kampania wrześniowa” tworzyli tą rozgłośnię.

Kolejnym etapem drogi zawodowej części radiowców stała się telewizja, a około 50 proc. „kortowskich dziennikarzy” pracuje obecnie w mediach.

Jak widać większość zawodowych dziennikarzy pierwsze kroki stawiała w rozgłośniach akademickich. Jednak niekoniecznie działała to w drugą stronę, bowiem nie każdy student kontynuuje „radiową przygodę”.

Jakie więc są cechy dziennikarza radiowego i czy każdy może nim zostać? Zapytałam o to gości piątkowej popołudniówki. Po pierwsze: otwartość na wyzwania; po drugie: ciekawość i ogólna wiedza, jak powiedziała Małgorzata Raducha „dziennikarstwo to sposób otwarcia umysłowego, umiejętność komunikowania się ze światem”; po trzecie: wewnętrzna kultura i elastyczność, według Małgorzaty Raduchy dobry dziennikarz wie, kiedy przyprzeć do muru, ale też i kiedy odpuścić, posiada wycucie i takt; po czwarte: bogate słownictwo, niestety, jak zauważył Krzysztof Panasiak, często radiowcy nie zadają sobie trudu zgłębiania języka polskiego. Zwłaszcza wśród młodych prowadzących dominuje język potoczny, nonszalancki, posługujący się sloganami. A przecież poszerzania słownictwa wcale nie boli...; po piąte: styl, głos i styl są jak linie papilarnie - charakterystyczne. „Każdy ma swój styl, który musi odkryć, zwłaszcza, jeśli chce pracować w radiu, telewizji czy prasie” jak powiedział redaktor Panasiak.

Radio akademickie jest najlepszym sposobem, aby pokazać na co nas stać, a młodych słuchaczy piątkowej popołudniówki w UwmFm chyba szczególnie zachęciła myśl Marka Markiewicza przywołana przez Małgorzatę Raduchę, iż „dziennikarstwo to jedyny zawód, do którego dyplom nie jest tak na dobrą sprawę potrzebny”.

Olsztyńskie Spotkania Teatralne to od lat sztandarowy okręt Teatru im. Stefana Jaracza. „Spotkania” to już stała pozycja w kalendarzach olsztyńskich miłośników teatru. Właściwie to jedyna okazja do tego, aby obejrzeć w naszym mieście sztandarowe przedstawienia najlepszych teatrów z całego kraju.

Olsztyńskie Spotkania Teatralne

Siła i przekleństwo w różnorodności

Adrian Zacharewicz

Odbijające się w tym roku po raz 16 „Spotkania”, wielokrotnie gościły tak znakomite postacie polskiego teatru, jak: Janusz Gajos, Piotr Adamczyk, Piotr Fronczewski, Ewa Błaszczyk, Krystyna Janda czy występujący podczas tegorocznych OST w monodramie „Rozmowy z diabłem. Wielkie kazanie księdza Bernarda”, Jerzy Trela. Na deskach Teatru Jaracza prezentowały się również legendarne teatry alternatywne. Spektakle takich grup jak Akademia Ruchu, Studio Le Madame, Teatr Wierszalin, Scena Plastyczna KUL, Teatr Kana, Teatr Montownia czy Teatr Ósmego Dnia bez wątplenia dają widzowi szansę na zapoznanie się z szerokim spektrum wydarzeń dziejących się w polskim teatrze. Zresztą, jak przyznają sami organizatorzy, Olsztyńskie Spotkania Teatralne to przede wszystkim „(...)lustro odbijające wiele twarzy współczesnej sztuki teatralnej: akcentują różnorodność tematyczną, gatunkową i estetyczną, tworzą szerokie ujęcie scenicznych konwencji i stylów(...), prezentując równolegle inscenizacje uznanych twórców teatru oraz charyzmatyczne przedsięwzięcia teatru poszukującego, niekonwencjonalnego”.

I w tym tkwi siła, ale również „przekleństwo” Olsztyńskich Spotkań Teatralnych. Zadanie to bowiem nie lada połączyć w ramach jednego festiwalu tak różne w formie i treści spektakle, jak na przykład „Cholonek” katowickiego Teatru Korez z „Dzień dobry państwu – Witkacy” zakopiańskiego Teatru Witkacego, przedstawieniem „Geist” Teatru Kana ze Szczecina czy zupełnie odmiennego od pozostałych, spek-



Nierozłącznie związany z Olsztyńskimi Spotkaniami Teatralnymi jest plebiscyt czytelników „Gazety Olsztyńskiej” i słuchaczy Polskiego Radia Olsztyn „Teatralna Kreacja Roku”.

taklu „Bruzda” Sceny Plastycznej KUL Leszka Mądziaka.

Siła bierze się z faktu, iż dzięki takiemu połączeniu widzowie mają szansę poznać wiele różnorodnych nurtów funkcjonujących w polskim teatrze. Wspomniany „Cholonek” to mocno osadzona w śląskich realiach farsa (choć to dyskusyjna klasyfikacja, ale to wymagałoby oddzielnego potraktowania) operująca raczej niezbyt skomplikowanym żartem i dość prostymi środkami wyrazu. Z kolei „Bruzda” to przedstawienie w którym nie pada ani jedno słowo, a całość opiera się na „ludzkich obrazach”, stworzonych przez aktorów. Nie będę oceniać tych spektakli (oba mi się nie podobały), ale myślę, że są dość jaskrawym przykładem formuły, jaką przyjęły „Spotkania”. Formuły, której „przekleństwem” jest dokładnie to samo, czym jest jej siła. Taki rozrzut tworzy bowiem momentami wrażenie pewnego chaosu i zmusza potencjalnego widza do dość wnikliwego „sprawdzenia” danego spektaklu, zanim się na niego wybierze. Być może, można by

z tego wysnuć jakiś zarzut w kierunku organizatorów, gdyby nie fakt, że... jest to świadoma koncepcja i pomysł na ten festiwal. Andrzej Fabisiak, organizator OST, wielokrotnie podkreślał, że idea „Spotkań” jest zaprezentowanie olsztyńskiej publiczności w jednym miejscu i czasie, swego rodzaju kompendium wydarzeń polskiej sceny teatralnej i przybliżenie tego, co działo się w polskim teatrze w roku ubiegłym. Bez wątpienia z tej perspektywy Olsztyńskie Spotkania Teatralne, są dla naszego miasta wartością samą w sobie i bez nich byłibyśmy sporo uboźsi.

Tegoroczny festiwal miał jeszcze jeden wyróżnik. Organizatorzy powrócili do idei spotkań z twórcami i aktorami uczestniczącymi w OST. Sądząc po frekwencji oraz przebiegu rozmów, można śmiało powiedzieć, że był to pomysł trafiony. Podobnie jak zaproszenie do udziału w tegorocznych Spotkaniach, teatrów: „Kana”, „Witkacego” oraz zespołu „Pogodno” z projektem „OPherafolia”, których spektakle jeszcze długo będą kołatać w mojej głowie... ■

Pisać każdy może...

Ci co czytają „Wprost” to wiedza, (a Ci co nie czytają to właśnie się dowiedzą), że minister Zbigniew Cwiąkałski zapowiedział wreszcie likwidację słynnego na całą Europę paragrafu 212, czyli karę ograniczenia i pozbawienia wolności za zniesławienie. Słynnego – bo nie tylko europejskie organizacje dziennikarskie ale Fundacja Helsińska i Strasburg jednym głosem wołali, że nie można kneblować ust dziennikarzom i ograniczać na modłę totalitarną wolność słowa.

Cieszymy się ogromnie Panie Ministrze, bo my - dziennikarze z olsztyńskiego SDP przez kilka lat walczyliśmy, pisząc gdzie się da, że najwyższy czas doszłusować do Europy i znieść ten haniebnny paragraf. Przyłączył się do nas Zarząd Główny SDP i wtedy sprawa ruszyła z miejsca.

Pamiętacie? Zaczęliśmy pisać, jak Sąd Rejonowy w Ostrołęce w 2003 r. skazał na osiem miesięcy aresztu w zawieszeniu Zenka Żłakowskiego z Olsztyna. Dziś Zenek jest przytaczany jako jeden z trzech najbardziej spektakularnych przykładów działania tego prawa, obok Jacka Brzuskiwicza z „Gazety Wyborczej” w Lublinie i znanego nam wszystkim Andrzeja Marka, redaktora naczelnego „Więści Potulickich”.

Wniosek o zniesienie paragrafu skierował do klubu poselskiego PO poseł Janusz Palikot. Dzięki mu za to i za dobre wino. Wznosimy więc toast za Cwiąkałskiego i Palikota i za nasz Sejm. Może właśnie dobre wino rozjaśni umysł naszym posłom na tyle, aby przegłosowali likwidację paragrafu.

Joanna
Wańkowska - Sobiesiak

Jak oni pisali – ci, co przed nami

Niemiec z polską duszą

Poniższy tekst jest skrótem sylwetki nakreślonej przez dr. Jana Chłostę z okazji prezentacji warmińskich ludzi pióra. Skróty pochodzą od redakcji.

Jan Chłosta

Za życia Eugeniusz Buchholz rzadko spotykał się ze zrozumieniem Polaków. Był wielkim idealistą. Przez to nie mógł pozyskać uznania Jana Liszewskiego i Seweryna Pieniężnego wciąż zabiegającymi o abonentów Gazety Olsztyńskiej. Polacy nie pojmowali jego umiłowania kultury polskiej, współczującego nastawienia do poniewieranej narodowo i kulturalnie ludności polskojęzycznej z południowej Warmii. Buchholz przerastał redaktorów Gazety Olsztyńskiej postawą moralną i świetną znajomością polskiego języka literackiego. Jak mało kto z rodowitych Warmiaków, urodzonych w XIX wieku, opanował literacki język polski, przekładał utwory biskupa Ignacego Krasickiego i Władysława Reymonta, pisał książki.

Niemców z kolei musiała niepokoić jego prawdziwe wołanie o prawa Polaków do własnego języka i kultury. Kierował się przy tym chrześcijańskim nakazem miłości bliźniego. Wiele o tym pisał i mówił. Profesor Wiktor Steffen we wspomnieniach przytoczył epizod z 1919 roku kiedy dyrektor orneckiego gimnazjum dowiedziawszy się o tym, że Steffen wraz z kolegą, uczęszczał na lekcje polskiego do Buchholza, to zagroził im o ile tego nie zaprzestaną wyrzuceniem ze szkoły. Zaznaczył, że uniknęli dotąd wydalenia z gimnazjum tylko dlatego, iż pod innymi względami byli uczniami wzorowymi.

Eugeniusz Buchholz wywodził się z rodziny niemieckiej od wielu pokoleń osiadłej w północnej części Warmii. Jak napisał jego o 19 lat starszy brat Franciszek, zarówno w rodzinie ojca piekarza Augusta jak i matki Berty z domu Thiel, nikt dotąd nie był do tego stopnia związany z kulturą polską. Zrozumienie i przyjaźń do Polski zainicjował dopiero Eugeniusz. Od niego zakorzeniły się w tej rodzinie sympatie do Polski.

Przyszła na świat Eugeniusz Buchholz 6 marca 1865 roku w Ornece. Był słabowitym dzieckiem i ta kruchość pozostała mu do końca życia. Zrozumienie dla Polaków, jak sam potem napisał, narodziło się

w nim podczas pielgrzymki do sanktuarium w Gietrzwałdzie, kiedy jako 12-letni chłopiec w lecie 1877 roku w towarzystwie matki, babki i innej kobiety zetknął się z pobożnymi Polakami. Ich przywiązanie do Matki Bożej, ich ufne oddanie, zrobiło na nim wielkie wrażenie. Po ukończeniu 15 roku życia zrezygnował ze szkoły w Ornece i podjął naukę w gdańskiej Akademii Handlowej. Ukończył ją po trzech latach z wyróżnieniem. Równocześnie uczęszczał na prywatne lekcje języka polskiego. Zapisał się też do polskiego towarzystwa „Ogniwo”. Pragnąc pogłębić swoją znajomość języka polskiego odbywał dwuletnią praktykę poznańskiej księgarni Edwarda Bote i Bock, potem jakiś czas pracował w drukarni i księgarni nakładowej G. Siwinny w Katowicach. Z pewnością pobyt wśród Polaków pogłębiły jego związki z naszą kulturą. Zimą 1886 i początek następnego roku spędził w Królewcu. Pracował tam jako tłumacz w firmie zajmującej się handlem kawiorami. Już z Królewca nadsyłał korespondencje do braniewskiej Ermländische Zeitung.

Początek samodzielnej pracy publicznej Eugeniusza Buchholza trzeba łączyć z zakupem w lutym 1887 roku od Adama Napieralskiego i Pielgrzym Jeszcze z Barczewa przesłał do Dziennika Poznańskiego swoje Szkice warmińskie. Podejmuwał w nich krzywdy, jakie doznają Polacy na południowej Warmii z powodu germanizacji trudności w narodowym odrodzeniu w ramach lokalnej warmińskiej swojskości. Zwracał uwagę na fakt cofania się żywiołu polskiego, na brak autentycznych i przygotowanych przywódców. Wypowiedzi te były o tyle ważne, że stanowiły szczególnie impuls w budzącym się ruchu polskim, który od swego powstania próbowała integrować



W 2005 roku, w 140 rocznicę urodzin Eugeniusza Buchholza, w miejscu gdzie znajdowała się jego drukarnia w Olsztynie na rogu obecnych ulic Staromiejskiej i Lelewela, umieszczona została pamiątkowa tablica.

Gazeta Olsztyńska. Mimo odmiennych intencji, wywoływał pomoc zapomnianym Polakom na Warmii. Sam Buchholz podkreślał konieczność uwzględnienia stosunków warmińskich. Tak jak pozytywiści wzywał do szerzenia oświaty przez polską gazetę. Pisał: Pod wpływem germanizacji i szczególnie licznego napływu ludności niemieckiej z północy Warmii, cofa się żywioł polski, ustawicznie ku południowi. Nie dostrzegał bądź nie chciał dostrzec, potrzeby łączenia tego ruchu z ośrodkami w Wielkopolsce i na Pomorzu. Wtedy nadsyłał też korespondencje do Pielgrzyma, Orędownika także niemieckich gazet jak: Ermländische Zeitung, Warmii.

Na pierwszym piętrze zlokalizowano pomieszczenia redakcji, a na drugim – mieszkanie wydawcy. Na parterze od strony dzisiejszej ulicy Lelewela mieściła się drukarnia. Z zecerni krętymi schodami wchodziło się do maszynowni. Stała tam maszyna drukarska typu Würzburger Schnelldrucke z jednokonnym motorem. Maszyna ta była jeszcze sprawna w 1920 roku. Zapewne od 1907 roku poruszana była energią elektryczną. W księgarni rozprawał wydane własne książki m. in. Dziesięć usług do Najświętszego Serca Jezusowego podług błogosławionej Małgorzaty Maryi Alakok, tu eksponowanej na wystawie. Najwięcej było książek religijnych księdza Walentego Barczewskiego oraz wydawnictwa sprowadzone z oficyn Wielkopolski, Pomorza i podobnie jak w Barczewie kalendary. Tutaj 3 października 1890 roku

ukazał się pierwszy numer Nowin Warmińskich, pisma z programem zbliżonym do Gazety Olsztyńskiej, chociaż bardziej podkreślającym warmińską swojskość, wstrzymania się od krytykowania duchownych, którzy nie zawsze dbali o Słowo Boże w języku polskim, przywiązanie do ziemi rodzinnej. Wszystko to, co wcześniej Buchholz wyraził w korespondencjach do gazet polskich. Wiele razy podkreślał, że miast napominać duchownych w gazecie za germanizację to lepiej podjąć rozmowy na ten temat w Kurii Biskupiej. Jego zdaniem krytyka księży w gazecie narusza ich autorytet jako osób duchownych.

Eugeniusz Buchholz zmarł rano w piątek 17 lutego 1928 roku. Jak przystało na członka III zakonu, nałożono mu habit św. Franciszka ze szkaplerzem na piersi i rękoma opasanymi różańcem. Odszedł po cichu, bez fanfar. Na pogrzeb do Ornety udała się delegacja Polaków z Janem Baczewskim i Sewerynem Pieniężnym – juniorem na czele. Potem o nim zapomniano. Dopiero po latach ksiądz Alfons Mańkowski, pisząc biografię Bucholza w Polskim Słowniku biograficznym, przypomniał sobie o trzecim literacie, który odszedł w tamtym pamiętnym 1928 roku. Wezwał księdza Walentego Barczewskiego i Andrzeja Samulowskiego, pisząc w Mestwinie tylko o dwóch literatach warmińskich, swoją postawą sprawiedliwego Niemca i katolika Eugeniusz Buchholz przerastał swoją epokę.

Wprawdzie prawo do poznania przeszłości oraz do wyrażenie na jej temat ocen mają wszyscy; choć – co więcej – w odniesieniu do niektórych ocena ta jest ważnym warunkiem i elementem budowania praworządnego państwa, to jednak obecny stan naszej kultury, zwłaszcza moralnej (to, jak ją rozumiem, także przedstawię niżej) skłania mnie do uznania, że publiczny rozrachunek z przeszłością trzeba dziś sprowadzić do niezbędnego minimum, a wysiłki pedagogiczno-polityczne skoncentrować właśnie na budowaniu owej kultury, której brak utrudnia nam (jeśli nie wręcz uniemożliwia) dokonanie rzetelnego obrachunku.

Sprawiedliwość, a kultura moralna

Przeszłość – rozliczyć

Andrzej Szostek MIC

Najpierw jednak chciałbym wskazać na historyczno-polityczny kontekst, który w moim przekonaniu odpowiedzialny jest za to, iż nasze rozliczanie z przeszłością ma charakter szczególnie, pod pewnym względem bardziej dramatyczny, niż to ma miejsce w innych krajach byłego tak zwanego obozu socjalistycznego w Europie.

Swe wprowadzenie do dyskusji Kaniowski rozpoczyna od słów: Nie ulega wątpliwości, że w epoce sprzed transformacji ustrojowej działo się w Polsce wiele rzeczy nagannych, jak też nie ulega wątpliwości, że aparat władzy w różnych okresach dopuszczał się wręcz czynów przestępczych – i dalej następuje krótkie rozwinięcie tej opinii wyjściowej, poniekąd tłumaczącej powody zaproponowania tematu całej dyskusji. Żeby jednak móc odpowiedzieć na cytowane wyżej główne jej pytanie („Za co, kogo oraz kto...?”), trzeba moralne oblicze PRL-u nieco przybliżyć. Nie chcę wchodzić w kompetencje historyków (nie wiem, jak dalece już spenetrowali oni już postawy społeczne w okresie powojennym), ale sądzę, że sytuacja Polski znacznie różniła się – właśnie w wymiarze moralnym – od sytuacji w innych krajach tworzących tzw. obóz państw socjalistycznych po wojnie.

Owszem, do wszystkich tych europejskich krajów (żeby porządkować na tym, najbliższym nam terenie) weszła władza obca i rozpoczęła rządy totalitarne, z wiadomymi (z grubszą) wielorako zgubnymi tego skutkami. Ale – jak mi na to zwrócił kiedyś uwagę pewien emigrant z Polski – na Węgrzech, w Rumunii, w Czechosłowacji, tym bardziej w Niemczech (o Bułgarii i Jugosławii nie mówię, tam z różnych powodów stosunek do nowych panów ze Wschodu był jeszcze inny) Sowieci mogli usprawiedliwiać swą inwazję postawą władz tych państw w czasie wojny:

postawą wprost pronazistowską lub co najmniej dwuznaczną. Mogli mówić: „Musicie ponieść konsekwencje tego, jak się zachowaliście wobec Hitlera. To my uwolniliśmy was i świat od hitlerowskiej pożogi, my ponieśliśmy największe ofiary. Teraz musicie przyjąć naszą obecność i naszą władzę”. Oczywiście, to usprawiedliwienie jest pokretnie. Wiadomo, jakim naciskom poddane były rządy tych krajów, wiadomo też, że i tam – Niemiec nie wyłączając – budził się ruch oporu i nie można winić całego społeczeństwa za chwiejność ich politycznych elit; wiadomo wreszcie, że i inne państwa zachowały się u progu wojny dwuznacznie, a dotkliwej konsekwencji politycznej nie poniosły (coż by należało w tym kontekście powiedzieć o Francji?). Jednakże wielu uczciwych obywateli wymienionych państw Europy Środkowej, zatroskanych o dalsze losy swych ojczyzn, mogło uznać: „No, trudno. Znaleźliśmy się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, ale próbujmy uratować, co się da, jeśli trzeba – to i we współpracy z nowym faktycznym suwerenem naszego kraju”.

Inaczej powiedziała Hitlerowi zdecydowane „Nie!” i o żadne grzechy wojennej przeszłości nie mogła być oskarżana. Co więcej, Polacy pierwsi i bodaj dotkliwiej, niż przedstawiciele innych nacji, doznali ze strony Sowieców wrogości i zdrady – i to na długo przed zakończeniem wojny. Przypomnijmy pakt Ribbentrop-Mołotow i stanowiący jego konsekwencję cios w plecy 17 września 1939 roku, po którym Rzeczypospolita straciła więcej terenów na rzecz ZSRR, niż zdołał zagarnąć Hitler. Przypomnijmy zbrodnię katyńską, o której sprawcach Polacy wiedzieli zanim jeszcze nowe władze rosyjskie były łaskawe oficjalnie się do tego przyznać. Przypomnijmy cyniczną propagandę sowiecką zachęcającą do powstania w Warszawie i obietnicę pomocy, której Rosjanie nie tylko

nie okazali, ale jeszcze czynili wiele, aby inni powstańcom nie mogli pomóc. Przypomnijmy, że na emigracji przebywał legalny Prezydent i rząd Drugiej Rzeczypospolitej, a w kraju nowi władcy traktowali najlepszych patriotów jak zbrodniarzy. Do rangi gorzkiego symbolu urasta to, że w jednej celi więziennej, z realną groźbą kary śmierci, siedział generał SS Joergen Strop, odpowiedzialny za likwidację getta warszawskiego, razem z wysokiej rangi oficerem AK Kazimierzem Moczarskim. Polacy pamiętali niedawną wojnę z 1920 roku, sami żyli uczucia dalekie od entuzjazmu wobec Rosji sowieckiej i wiedzieli, że podobne jest nastawienie do nich Wielkiego Brata ze Wschodu. Litanię tę można by długo jeszcze kontynuować, już jednak przywołane okoliczności świadczą o tym, że polskim patriotom daleko trudniej było zgodzić się na współpracę z nowym okupantem, niż mogło to mieć miejsce w ościennych krajach zagarniętych przez ZSRR. Byli wprawdzie tacy, którzy dali się zwieść, przynajmniej przez jakiś czas, propagandzie patriotyczno-socjalistycznej (odbudowa kraju, rzekomo „prapolski” charakter nowych granic, reformy społeczne, upowszechnienie oświaty itp.); przykład ewolucji poglądów i życia Czesława Miłosza dobrze tę propagandę i jej ograniczony zasięg obrazuje. Ale, jak wolno sądzić w oparciu o przytoczone fakty i okoliczności nadające szczególnie bolesny charakter relacjom polsko-sowieckim, do nowych władz i do współpracy z nimi aspirowali – w stopniu chyba statystycznie bardziej znaczącym, niż w innych krajach – ludzie, którzy wiedzieli, że zdradzają Polskę; którzy godzili się na wprowadzony do kraju system kłamstwa i przemocy; godzili się na nieprawość i łatwo sami się jej dopuszczali.

Czasy PRL trwały długo, opcje polityczne się zmieniały, miejsce oficjalnej, fasadowej ideologii



Ks. prof. Andrzej Szostek, etyk, były rektor KUL. Tekst zamieszczony obok jest skrótem materiału przygotowanego dla pisma „Etyka”.

marksistowsko-leninowskiej coraz jawniej zajmował polityczny pragmatyzm, ale zmiany te dokonywały się stopniowo, ewolucyjnie – a to znaczy, że pierwotny, powojenny kurs walki z polskością w Polsce wciąż trwał; kurs realizowany przez tych, którzy wiedzieli, że nie służą dobru Narodu i państwa, że zmieniały się tylko metody ich działania, ale cel był wciąż ten sam: utrzymać się przy władzy, wykorzystując po temu wszelkie środki, z niegodziwością włącznie. Wiedzieli też, że opowiadając się po stronie oficjalnych władz poniekąd palili za sobą mosty, ponieważ Narodu złamać się nie udało, a trwający i z latami wzmagający się opór społeczeństwa tylko pogłębiał przepaść pomiędzy nimi, a tymi, którymi bezskutecznie usiłowali zaważać. Wydarzenia roku 1956, 1968, 1970, 1976, 1980; twardy opór Kościoła prowadzonego przez Księdza Prymasa Stefana Wyszyńskiego i jego głośne Non possumus, za które zapłacił więzieniem; ukonstytuowanie się Komitetu Obrony Robotników z jego ostentacyjnie jawną opozycyjną działalnością; powstanie NSZZ „Solidarność” i miliony tych, którzy do nowego Związku przystąpili; pierwsze pielgrzymki Jana Pawła II i rzesze wiernych, których gromadził i podtrzymywał na duchu – wszystko to zaostrzało fundamentalny podział społeczeństwa.

Dokończenie str. 6

Dokończenie ze str. 5

Nie wróżył on łatwego procesu narodowego odrodzenia i pojednania w zmienionych warunkach politycznych, których tak rychłego i radykalnego nastania nikt przecież nie przewidywał, nikt się więc do tego procesu dobrze nie przygotował. W roku 1989 stanęliśmy wszyscy wobec widma ostrej konfrontacji, gruntownego rozliczenia z przeszłością. Nie doszło do niego głównie za sprawą „grubej kreski” premiera Tadeusza Mazowieckiego (o której niżej), ale tkwiła głęboko w naszych umysłach i sercach – i kiedyś ten problem musiał dojrzeć.

Historia wprawdzie nigdy się dosłownie nie powtarza, ale mechanizmy funkcjonowania społeczeństwa i władania nim nie zmieniają się zbyt szybko, jak o tym świadczy aktualność cytowanej diagnozy Platona.

Powtórzmy: obywatel – każdy obywatel – ma prawo poznać przeszłość swego kraju, jak zresztą ma prawo dociekać każdej interesującej go prawdy. Ma nawet obowiązek zainteresowania się niedawną przeszłością społeczeństwa, do której należy, to rozpoznanie pozwala mu bowiem bardziej odpowiedzialnie decydować o politycznej przyszłości swego kraju. W tym sensie poznanie przeszłości prowadzi nieuchronnie do moralnej i politycznej oceny aktorów

ją współtworzących, pociąga więc za sobą obowiązek poddania rzetelnej lustracji tych, którzy dziś sprawują władzę. Konsekwencją tej oceny winien być odpowiednio wypełniony formularz wrzucany do wyborczych urn.

Brak kultury moralnej najłatwiej ilustrować wydarzeniami z życia politycznego, dotyka on jednak całe społeczeństwo, choć – być może – przez polityków jest szczególnie silnie inspirowany. Musi budzić głęboki niepokój to, że jeden z wysokich urzędników państwowych oskarża większość byłych ministrów spraw zagranicznych o kolaborację z wrogimi Polsce państwami, nie podając jednak żadnych szczegółów uzasadniających te ciężkie zarzuty, co mu jednak nie przeszkadza po dziś dzień pełnić aktywną rolę w polityce, żadnych konsekwencji za swe oskarżenia nie ponosząc, pomimo listu w tej sprawie do premiera, sygnowanego przez pomówionych. A kiedy jeden z grona tych byłych ministrów, niezmiernie zasłużony w obronie Polski w czasie II wojny światowej i po wojnie, obchodzi swój piękny jubileusz, to ze strony najważniejszego z polskich polityków (który – z racji sprawowanej wysokiej funkcji – nie jest członkiem ani rzecznikiem żadnej partii!) słyzy tyle, iż sygnatariuszom wspomnianego listu nie ma on nic do powiedzenia. Zaś znany ksiądz w popularnej rozgłośni

radiowej obraża publicznie żonę Prezydenta RP, wyjaśniając jedynie, że miało to miejsce w czasie wykładu na uczelni (jakby ta okoliczność miała jego odpowiedzialność łagodzić!), za co i on nie ponosi żadnych konsekwencji ani ze strony władz państwowych, ani kościelnych. Przypadków takich można przywołać więcej.

Niepokojące są nie tylko pojedyncze wypowiedzi i zachowania, ale – może bardziej jeszcze – wprowadzane w tym samym duchu regulacje prawne, wśród nich zwłaszcza podśluchy i prowokacje, którym poddani byli nawet tak wysocy urzędnicy państwowi, jak wicepremier. Usprawiedliwia się często te praktyki (a najpierw ich legalizację) koniecznością walki z korupcją. Powtórzmy: z korupcją walczyć trzeba, i to z wielką determinacją, ale i tę walkę prowadzić należy środkami moralnie godziwymi, inaczej zło się raczej potęguje, niż usuwa. Co więcej, walka ta musi być równoważona takimi działaniami, które pozwalają odbudować społeczne zaufanie i chęć współdziałania. Pisała o tym prof. Barbara Skarga: „W społeczeństwach, w których na każdym kroku panuje podejrzliwość, zamiera wszelka więź, wszelka współpraca. Czy warto byłoby żyć w świecie, w którym podstęp jest ważniejszy od ufności, prowokacje od lojalności, wrogość – bo tylko wrogość powoduje prowokację – od kontaktów przyjacielskich?”

W świecie, gdzie podstawowe zasady moralne nie odgrywają żadnej roli, przeciwnie: traktuje się je jako przeszkody w skutecznym działaniu? Smutny byłby taki świat. Świat, z którego wygnana by była sprawiedliwość i budująca ją moralność, nie byłby wart istnienia”.

Dlatego właśnie sędzę, że lustrację przeprowadzić trzeba, ale należy ją ograniczyć do niezbędnego minimum, obejmując nią jedynie elity polityczne, nawet szeroko pojęte. To prawda, że ważną rolę polityczną odgrywają także profesorowie, dziennikarze i dyrektorzy przedsiębiorstw, ale w obecnej atmosferze wzajemnej nieufności i podejrzliwości poszerzenie zakresu lustracji o te i inne grupy społeczne może niebezpiecznie tę atmosferę spotęgować. Poszczególne instytucje życia społecznego (jak np. Kościół katolicki) mogą chcieć przeprowadzić „lustrację wewnętrzną”: to ich dobre prawo, ale żaden obowiązek prawny. Także dostęp do akt IPN trzeba tak uregulować, by korzystanie z nich uchronić przed pokusą politycznej manipulacji i krzywdzących dezinformacji. Nie wiem, jak to zrobić, ale jakieś mądrej formuły szukać trzeba. Owszem, do poznania prawdy o przeszłości mają prawo wszyscy, ale proste udostępnienie tych akt automatycznie nas do niej nie przybliży.

(Skróty pochodzą od redakcji, tekst nieautoryzowany).

Szukanie patrona

Zauważyłem, iż podczas tzw. świąt prasowych (Dzień Radia, Dzień Środków Masowego Przekazu czy wręcz Dni Mediów) najmniej zainteresowani takimi świętami są dziennikarze. A tak na dobrą sprawę - co mają robić? Odświętnie się odziać, rzucić palenie, przeprosić słuchaczy/widzów/czytelników za swe błędy językowe, ortograficzne, warsztatowe? Prawda, że nie wiemy, jak się zachować. A skoro tak, naszą niemrawość wykorzystują przeróżni hochsztaplerzy składając nam życzenia, a nawet - co gorsze - wygłaszając na tę okazję kaskady słów (popatrzcie, jak się to robi, żurnaliści) lub organizując dyskusje, penele, sondáže.

W bok od Piazza Navona jest uliczka krótka, niepozorna, wiodąca do następnego piazza, jak to w Rzymie - świetlistego, bogatego architekturą. A jednak ta niepozorna uliczka, raz w roku stroi się odświętnie. W narożniku jednej z kamienic tej uliczki jest nisza niewysoka, w niej niezbyt urodziwy posązek, noszący imię Pasquino. Skąd się tam wziął? Wiadomo, że tkwi w swej niszy od schyłku XV wieku. Podobno posązek wyobraża postać szewca rzymskiego, który zaśląnął jako autor złośliwych, szyderskich utworów - w języku polskim nazywanych paszkwilami. Co roku, w dzień świętego Marka, 25 kwietnia, nisza Pasquino zapełnia się świątkami współczesnych paszkwili.

Pod wieczór, bezkarnie, są odczytywane, nieczym w Hyde Parku. Szydzić bowiem można (byle dowcipnie) tego dnia do woli. Tak więc szydercy i złośliwcy mają swego patrona. A inni?

Dziennikarze telewizyjni mają za świętego patrona św. Gabriela Archaniola, radiowi - św. Klarę i św. Antoniego z Padwy (w tamtejszej Bazylice, w relikwiarzu umieszczonym za ołtarzem przechowuje się struna głosowe Świętego), dziennikarze prasowi - św. Franciszka Salezego. Ten święty ogarnia także swą świętą opieką litaratów, pospółku ze św. Katarzyną Aleksandryjską. Pisarzami opiekuje się św. Marek Ewangelista (używający też swego święta niejakiemu Pasquino), wraz ze św. Janem Ewangelistą. Biblio-

tekarze mogą liczyć na opiekę św. Wawrzyńca diakona, księgarze - na św. Hieronima i św. Jana Bożego, drukarze - na św. Ludwika IX króla Francji, a zecerzy (zawód wymarły) na egidę św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Zaś artyści w ogólności są pod opieką św. Wita.

Tak, wiem, że wszelkie tendencje korporacyjne popadły w Polsce w niełaskę. Tak bywa. Pamiętajmy jednak, że to, z czego można jeszcze niekiedy wyprowadzić genezę współczesnego dziennikarstwa, wzięło się z zamkniętego kręgu włościaninów w zawód. W tym to kręgu potrafił świętować dzień patronalny. Może by tak sięgnąć do tradycji?

Krzysztof Panasik

Realizator dźwięku to osoba odpowiedzialna za jakość i ciągłość dźwięku w trakcie koncertów lub w studiu nagrań, w studiu radiowym czy telewizyjnym. Jego zadaniem jest uzyskanie odpowiedniego brzmienia dźwięku na żywo lub na taśmie czy nośniku cyfrowym. Realizator najczęściej sam montuje nagrany przez siebie dźwięk, sam też wykonuje tzw. miks, czyli zgranie wszystkich warstw dźwięku. To specyficzny zawód. Właściwie nie wiadomo, czy można go traktować już jako reżysera dźwięku, czy jeszcze jako operatora dźwięku. Wykonuje zadania operatora, ale na brzmieniu musi się znać prawie równie dobrze jak reżyser. Jak w każdym zawodzie najbardziej cenieni są ci najlepsi. Jeden z nich pracuje w rozgłośni PR w Olsztynie.



Jaka była twoja droga do osiągnięcia pozycji jednego z najlepszych (nie zaprzeczaj) realizatorów dźwięku w naszym kraju?

Zacząłem w domu. Jako bardzo młody człowiek budowałem wraz z ojcem szalone urządzenia elektroniczne. Potem była muzyka. Szkoła i studia. Wyjazd za granicę pozwolił na zakup pierwszego, profesjonalnego studia nagraniowego (całe osiem śladów!). Potem Radio Olsztyn i ogromne wyzwanie: zrobić studio w którym nagrywają najlepsi. Myślę, że prawie się udało.

Jakie predyspozycje są niezbędne do wykonywania tego zawodu?

Bycie muzykiem jest najważniejsze. Odporność na stres, umiejętność współpracy z dużymi grupami ludzi - też ważna. Trzeba mieć otwarty umysł i nie bać się eksperymentów - nawet tych najbardziej szalonych. Nagrywanie to przygoda.

Czy w tym zawodzie można być samoukiem, czy trzeba skończyć jakieś specjalne szkoły, kursy, szkolenia itp.?

Sposób zdobywania wiedzy jest dowolny. Liczy się sama wiedza. Oczywiście można zaoszczędzić sporo czasu korzystając z doświadczeń innych ludzi, jednak nie ma mechanizmu, który pozwoli połączyć elementy teorii i praktyki bez własnej, ciężkiej pracy. Znalezienie odpowiedniego sposobu myślenia i świadomość celu (brzmienia), do którego dążymy przychodzą wraz z doświadczeniem.

Co jest najbardziej przyjemne w pracy realizatora dźwięku, co cię w tym pociąga i dlaczego?

Najbardziej przyjemna jest świadomość, że następną produkcję zrobisz inaczej niż tę, którą właśnie skończyłeś. Dawanie cząstki

swoich emocji słuchaczom i myśl, że coś z nas pozostaje w muzyce, którą tworzymy to bardzo miłe uczucie. Spotykam też wielu ogromnie utalentowanych ludzi.

Czy masz cierpliwość do każdej „gwiazdy”, czy zdarzyło się, że miałeś kogoś serdecznie dość?

Oczywiście, że miałem serdecznie dosyć i pracy, i ludzi. To chyba normalne. Czasem, po czternastu godzinach nagrywania gdy nikt nie jest zadowolony i nic nam nie wychodzi, gdy cała ekipa „warczy” na siebie a producent liczy stracony czas, nie sposób zachować „zimną krew”. Wtedy zawsze mam ochotę rzucić to wszystko. Jednak taki czas mija i znów czuje ten „dreszczyk” towarzyszący genialnie zaśpiewanej ścieżce wokalu.

Co jest najważniejsze przy realizacji nagrania i czy można „poprawić” mankamenty wokalne danego artysty?

Wszystko jest ważne. Każdy instrument, każdego wokalistę można nagrać na wiele różnych sposobów. Jest wspaniale jeżeli mamy wspólną świadomość tego co chcemy osiągnąć. Wtedy idziemy prostą drogą. W większości przypadków jednak nie potrafimy określić jakich technik należy użyć bez wcześniejszego ich wypróbowania. Współczesne narzędzia studyjne pozwalają poprawić bardzo wiele, ale nawet najdoskonalsze technicznie nagranie nie zastąpi tego co ludzie nazywają talentem. To talent powoduje, że nasze oczy stają się mokre i żaden plug-in komputerowy tego nie spowoduje. (Na szczęście!)

Dziękuję za rozmowę i życzę kolejnych zawodowych sukcesów.

Andrzej Zb. Brzozowski

(przedruk artykułu z „Nowego Życia Olsztyna”)

Na ukos

Książk Skarga miał rację

Dawno temu dostałem w prezencie (od licealisty, dziś wziętego dziennikarza jednego ze znaczniejszych tytułów w Polsce) książczynę zniszczoną, acz niezwykłą. Mam ją, to „Wybór pism” ks. Piotra Skargi, wydana przez Krakowską Drukarnię Nakładową w 1912 roku. W pierwszym odruchu sprawdziłem swą pamięć, a więc zacytowanie fragmentu z Kazań Sejmowych Skargi i Rzeczypospolitej przyrównywanej do statku naprawy wymagającego, i odłożyłem na półkę. Niektóre książki zachowują się jak broń - nabita, musi wypalić.

Ta wpadła mi w dłoń kiedy dobywałem zupełnie inną. Czytam ze zdumieniem (jest rok 1597, kiedy to wyszły drukiem w Krakowie „Kazania Sejmowe” ks. Piotra Skargi): „Prawo żadnego pożytku nie niesie, które się dobrą egzekucją i pilnym wykonaniem nie opatrzy i potężnością do przymuszenia nie przyprawi. Mówić, pisać, wywodzić umiemy, a czynić najmniej. Niemasz pilnych urzędników, niemasz ostrych, niemasz porządných, niemasz nieodproszonych (takich, których o nic nie uprosisz, bo postępują ściśle wedle prawa -kjp). Taki to urzędnik lada czem od egzekucji uwiedzie, ustraszy, przedaruje. Urzędy mocy nie mają, któraby ludzie zle hamowała i do dobrego przymuszała. Złe prawo gorsze jest, niżli tyran nasroższy, bo wždy tyran odmienić się, albo namówić, albo umrzeć może i jego tyranstwo ustaje. Złe prawo zawždy trwa, zawždy zabija i szkodę czyni.

Patrzcie, do jakich dostatków i bogactw i wczasów ta was matka przywiodła, a jako was ozłociła i nadała, iż pieniędzy macie dosyć, dostatek żywności, szaty tak kosztowne, sług takie gromady, koni, wozów, takie koszty, dochody pieniężne wszędzie pomnożone. Sama tylo matka mało ma.

Taż miła matka dała wam taki pokój, jakiego wiele królestw nie mają, za którym napelnily się komory wasze i rozszerzyły się pożytki wasze. Macie od teje ojczyzny do tego czasu sławę wojenną. Rodzi wam ta matka mężne i mądre i szczęśliwe hetmany, mocne i nieustraszone rycerstwo i lud taki, na który się nieprzyjaciele oglądają.

Cóż wam więcej uczynić mogła? Czemuż jej serdecznie miłować i onę w całości zatrzymać i dla zdrowia jej wszystkiego tracić, gdy tego jest potrzeba, nie macie? Onę miłując, sami siebie miłujecie a nie utracicie. Onej nie życząc i wiary nie dochowując, sami siebie zdradzicie. Miłujecie pożytki swoje pojedyncze, a pospolite burzycie - i mniemacie, abyście dobrze sobie czynili i życzyli.”

Minęło 411 lat, a wyrażone przez kaznodziejęj myśli nie straciły na aktualności. Nie pierwszy to raz historia, zamiast skarbnicą mądrości, staje się płaszczyzną dla kurzu.

kjp

POLSKIE RADIO
OLSZTYN



*znamy się
ze słyszenia*

Giżycko 99,6 Mhz Olsztyn 103,2 Mhz Elbląg 103,4 Mhz



www.ro.com.pl

www.ro.com.pl



*znamy się
ze słyszenia*

Giżycko 99,6 Mhz Olsztyn 103,2 Mhz Elbląg 103,4 Mhz

POLSKIE RADIO
OLSZTYN

